ILUSTROWANY GŁOS NARODU

z dnia 15. Listopada 1902 r.

KILKA SŁÓW
o Wieliczce i jej kopalniach

przez

Feliksa Piestraka, c. k. zarządcę salinarnego, z ilustracjami **Jana Czerneckiego.**

(Dokończenie).

Robotnicy dzielili się na 1) walaczów, 2) beczkowych, 3) kieratowych i komornych, 4) rotnych i komornych, 5) wodnych i 6) wozaków, stosownie do przekazanej im czynności.

Ci robotnicy stanowili zupełnie odrębną kastę ludzi i rekrutowali się przeważnie z górników młodszych, podczas gdy kastę inną stanowili kopacze i kruszacy, a więc górnicy starsi wiekiem i doświadczeńsi w kopalnictwie. Kopacze i kruszacy uważali się z tego względu za coś wyższego, co i do chwili obecnej wśród klas robotniczych pozostało.



KAPLICA Św. ANTONIEGO.

Z tego względu mieli osobną ordynację kruszacy i kopacze, osobną zaś 6 klas robotników powyżej wymienionych.

Solankę kopalnianą warzono na 6 panwiach, nad każdą zaś panwią był przełożonym hutmistrz, wicehutmistrz i dwóch panwiowych.

Warka trwała nieprzerwanie 12—13 tygodni poczem naprawiano panwy i piece. Huty solne leżały przy ulicy Krakowskiej.

O kwitnącym stanie saliny i miasta świadczą liczne składy solne założone w Oświęcimie w Będzinie i nad Wisłą, jak również i ta okoliczność, iż ówczesne dochody kopalniane 24000 złp. wynosiły.

Na ten czas przypada także oddanie królowi szybu „Lubomierz“, w Lednicy obok Wieliczki się znajdującego za wioski Porębę i Niedźwiecki, który to szyb po rok 1602 służył do wydobywania solanki, a poprzednio do Lubomirskiego należał.

Z czasów administracji Andrzeja Górskiego, a więc pomiędzy rokiem 1620—1640, należy zaznaczyć pogłębienie obecnie istniejącego szybu Górsko, rozpoczęcie robót około pogłębiania szybu Ligęza. i wybuch groźnego pożaru, który zniszczył Górny rynek i południowe skrzydło zamku. Administratorowi temu zawdzięcza kopalnia wypracowanie instrukcyi służbowych i wprowadzenie wielu zarządzeń, odnoszącycych się do jej bezpieczeństwa.

Usunięcie np. lub zepsucie filarów bezpieczeństwa, było zagrożone obcięciem rąk, a nawet dwu kruszaków miało tej karze podpaść, i tylko wstawienie się duchowieństwa temu zapobiegło. Jakie kary dyktowano wówczas robotnikom za przekroczenia służbowe, świadczy o tem dosłowny cytat z zapisków p. Larysz Niedzielskiego wyjęty, a mianowicie:

„A gdyby który z nich szkodę w oprawie (oprawianie bałwanów) umyślnie uczynił, takowego wolno będzie urzędnikowi na miejscu skarać, albo do więzienia urzędowi oddać, zatrzymawszy jego nad górą. A gdzieby się takowy znalazł między walaczami i innym robotnikom nieposłuszny, albo też inszych od posłuszeństwa odwodził, takowy ma być oddalony od roboty tak dolnej jako i górnej, do której nie ma być przyjmowany, ażby sobie pp. Urzędników starszych przejednał, a pokazałoby się to i drugi raz na takowego, tedy nie tylko oddaleniem z roboty ma być pokarany, ale też wiecznemi czasy jako buntownik z miasta wytrąbiony“.

W wspomnianych zapiskach znajdujemy także postanowienia względem chorych robotników salinarnych, których żupa w czasie choroby żywiła i dla poratowania zdrowia obdzielała zapomogą w wysokości 1 złp. — w razie zaś dłuższej choroby, sztuką soli.

Na pierwszą połowę 17-go stulecia przypada pogłębienie szybu Danielowca, obecnego Arcyksięcia Rudolfa, służącego do zjazdu i wyjazdu, jak również wiele wypadków doniosłych dla saliny i wiele klęsk elementarnych, w szczególności zaś groźny pożar kopalni, który wybuchł w szybie Bonnera przy spuszczaniu siana dla koni 16 grudnia 1644 r., ugasł zaś dopiero po kilku miesiącach bezskutecznej pracy, po strawieniu wszelkich zapasów drzewnych.

Stłumienie pożaru tego, przypisuje również historja bł. Kunegundzie, do której grobu do St. Sącza pospieszyła procesja z urzędników i robotników złożona, a co na tablicy w Sączu w tym celu ufundowanej, jest uwidocznione.

Pod zarządem Kazanowskiego wykończył sławny miernik Marcin German pierwsze plany kopalń wielickich a mianowicie w roku 1638 i 1648.

Praca ta nadzwyczajnej wagi na owe czasy, znajduje się w zarządzie żup wielickich w dwojakim rodzaju, mianowicie: jako plany oryginalne i plany wydawnictwa W. Hondiusa (Marcina Germana plany kopalni Wielickiej z roku 1638 i 1648 opisał F. Piestrak, Lwów, nakład Towarzystwa politechnicznego 1902) i nosi napis: „Filum Ariadnae in Labyrintho“.

Rzecz naturalna, że pożar trwający kilka miesięcy w kopalni straszne skutki po sobie pozostawił i spowodował zawalenie się wielu komór wywołujących powstanie na świecie zawalisk groźnych dla miasta.

Druga połowa 17-go stulecia zapisała się smutno dla kopalń wielickich, gdyż ciągłe wojny i napady Szwedów na Polskę zniszczyły ją doszczętnie, a na domiar złego, musiała kopalnia opłacić pomoc Austrji przeciw Szwedom.

Kopalnia upadała; skutkiem tego wytwórczość



KAPLICA Św. ANTONIEGO.

zaś całą kopalni pożerały klasztory i zakony. Na okoliczności te zwracano uwagę króla, dzierżawcy nie mogli sprostać przyjętym na siebie obowiązkom, dlatego zaciągali znaczne długi pogrążające kopalnię w stan smutny, bez wyjścia.

Wspomnę jeszcze na tem miejscu o strejku wybuchłym między górnikami wielickimi, którzy zaprzestali roboty wskutek zatrzymania im deputatu solnego tak, iż sądy królewskie ukarały kilku robotników wbiciem na pal i rozćwiartowaniem.

Załamanie się komór Słabaszów i Zgłobice, spowodowało zniknięcie dwóch domów obok szybu Górsko, położonych pod powierzchnią ziemi, przyczem jednakowoż nikt z ludzi życia nie utracił.

Z początkiem 18-go stulecia powstała znana dobrze, zwiedzającym Wieliczkę, kaplica św. Antoniego, wykuta w jednolitej skale soli zielonej, przez nieznanego z nazwiska robotnika. W kaplicy tej odprawiano po wstąpieniu na tron Cesarza Józefa II. codzień nabożeństwo, później jednak zniesiono ten zwyczaj, i w r. 1897 przeniesiono nabożeństwa uroczyste kilka razy w roku odprawiane do kaplicy bł. Kunegundy z komory pustej na kaplicę zamienionej.

Początek 18-go stulecia zapisał się również smutno na karcie historji wielickiej wskutek wo-



SZYB ARCYKSIĘCIA RUDOLFA.

jen i napadów szwedzkich, skutkiem czego trudno było o administratorów i dzierżawców saliny.

Późniejsi zarządcy żup wielickich, starali się o dobrobyt kopalni, a w szczególności sławny geometra Borlach, który zaprowadził systematyczną odbudowę soli, wypracował ordynację dla robotników i instrukcje służbowe, a przytem obliczył pracę ugodową w kopalni.

Borlach wsławił się także wykonaniem planów kopalń wielickich, znajdujących się również w przechowaniu zarządu salinarnego. Za jego administracji nastąpiło zawalenie się komory Kręczyny powodujące powstanie zawaliska dziennego i to tak nagle, że kobieta Spadkowska udająca się z koszem owoców do Krakowa wpadła nagle w powstałą szczelinę i omal iż w niej życia nie straciła.

Czasy zarządu Kłuszewskiego są dla Wieliczki bardzo pamiętne, są bowiem czasy rozruchów i najwyższego wyzyskiwania kopalni.

Wrzawa wojenna znaną była miastu, zaś strzały armatnie odbijały się niejednokrotnie o jego mury. W r. 1772 wkroczyły 9 czerwca pierwsze forpoczty austrjackie do miasta i zajęły je; w tym też roku zniesiono wszelkie przywileje miasta, ustały sądy magdeburskie, magistrat zaś obsadzono nie własnymi obywatelami, lecz urzędnikami. Prasólstwo obywatelom Wieliczki odebrano; Wieliczka zaś zeszła do rzędu lichych miasteczek, tak co do powierzchowności jak i majątku prywatnych.

Raut u państwa Bibersloch.

Humoreska.

Radca handlowy, Samuel Bibersloch, oczekuje gości na raut muzykalno-deklamacyjny. Dzieje się to o godzinie 8 wieczorem, w jesienną sobotę. Wszystkie pokoje są oświetlone a wynajęty lokaj we fraku i białym krawacie, siedzi w przedpokoju. Sam pan Samuel, mężczyzna średniego wzrostu, ze szpakowatymi bokobrodami, zaokrąglonym brzuszkiem, ozdobionym łańcuchem od zegarka i masą breloków, przechadza się po salonie wolnym krokiem, starając się stąpać po jednym i tym samym deseniu dywanu. Oto zatrzymał się przed zwierciadłem, aby przyczesać faworytów, lecz spojrzawszy na porcelanową japońską misę, stojącą na konsoli z mnóstwem biletów wizytowych, schował na spód parę biletów z nazwiskami: Perlmutterów, Stocksüsów i Mandelburgów a ułożył natomiast na wierzchu bilety, opatrzone nazwiskiem Antoniego hr. Goleckiego, jakoteż paru posłów do parlamentu.

Do salonu weszła, z szumem jedwabiów, ośmnastoletnia córka p. Samuela, — zasiadła do fortepianu i zaczęła grać „Rondo Capricioso“ Mendelssohna.

— Znowu?! — zawołał, krzywiąc się, p. Samuel. — Prosiłem ciebie, Malciu, żebyś raz już przestała grać te majufesowe melodje, szczególniej przy gościach. Może to być bardzo ładne, mnie się to nawet nieraz podoba...

— Jak można mówić, że to „może być bardzo ładne“! Mój papo, niech się papa nigdy nie odzywa w ten sposób o Mendelssohnie, bo wszyscyby się śmiali. Wogóle, nie należy sądzić o rzeczach, na których się niezna. Pamiętam dobrze, jak papa kazał mi raz grać przy gościach na fortepianie z nut, pisanych na trąbę. Rubinstein, Moszkowski, Grossman, Mendelssohn pomimo swych nazwisk pisali wspaniałe utwory.

— Co ci to jednak szkodzi nie grać te wspaniałości na raucie. Masz kawałki przez Paderewskiego, Wrońskiego, Tymolskiego — dlaczego się ty upierasz przy tym Mendelssohnie?

— Dajmy już pokój temu, bo papa wygaduje herezje...

— Jakie znowu herezje? Ale cicho... ktoś dzwonił...

Po chwili, wtacza się do salonu otyły, rudy jegomość. Jestto nader popularny w kołach miejscowych finansistów p. Izydor Falimenter, zajmujący się dyskontem weksli. Kiedyś tam handlował towarem łokciowym, lecz bankrutował potrzykroć i wypłaciwszy wierzycielom „bez hałasu“ po 18%, wyszedł jak sam mówił „na gładkość“, zyskując, oprócz środków do skupowania weksli marnotrawnych paniczyków, miano „porządnego człowieka“ u swych współwyznawców. Obecnie p. Izydor posiada już znaczny majątek, to też bierze się tylko do „dobrych interesów“, przynoszących pewne zyski i nie narażających jego opinii porządnego człowieka na zajmowanie miejsca na ławie oskarżonych. Falimenter odznaczał się pogodnym humorem i jowialnością, miał też słabość do używania wyrazów cudzoziemskich, których nie rozumiał, i do cytowania przysłów, które niemiłosiernie przekręcał.

— Nikogo i niczego niema! — zawołał, wchodząc do salonu i ocierając chustką spocone oblicze. — Servus, panno Malciu. Patrzę się na panią i dziwuję, że pani jest coraz piękniejsza... Słowo parolowe daję, jak pomarańcza-malinówka, pani wyglądasz...

Panna Malcia nie odpowiedziała nic na ten wyszukany komplement, a jej ojciec, witając p. Izydora zapytał go:

— A gdzież czcigodna małżonka?

— Ona menażuje trochę swoje zdrowie. Nikt się nie dowie, co to jest zdrowie... aż zachoruje. — Tak samo i ona — byłał zdrowa a teraz chora, bo się jej zachciało widzieć tę jakąś poetkę jubileuszową z Warszawy i jeździła na kolej, gdzie ją wiatr przewiał. Wołałem do niej doktora Liebesfreunda i ten powiedział, że to nic nie jest tylko fluksja. No, darmo! póty dzbanek wodę nosi, póki mu wiatr w ucho nie dmuchnie! Widzę, że ja przyszedłem pierwszy, spieszyłem się, żeby zagrać w domino.

— Dzisiaj będziemy grać późno, bo moje dzieci chcą koniecznie urządzić taki raut z deklamacją, śpiewem i muzyką.

— Taki interes! Może pan zaprosiłeś jakich gazeciarzy? Jeśli tak, to ja wolę niebyć tutaj, bo jeszcze potem obsmarują moje nazwisko w gazetach. Teraz to oni piszą o każdym najporządniejszym człowieku najnieporządniejsze rzeczy. Lepiej im się na oczy nie pokazywać... Chociaż to powiadają: wiatr wieje, pies się śmieje, ale ja wolę deszcz niż wiatr, bo od deszczu jest parasol a od wiatru niema żadnej obrony.

— Bądź pan spokojny, będą tylko sami nasi. Nauczyciel mego syna przeczyta coś z literatury i przyprowadzi ze sobą znajomych artystów. Wszystko zatem pewni ludzie...

We drzwiach ukazali się dwaj goście.

— Moje uszanowanie panu radcy — odezwał się czarnowłosy młodzieniec, za którym kroczył z powagą jasny blondyn o koziej bródce — pozwoliłem sobie przyprowadzić mego kolegę, muzyka p. Piłeckiego. Talent pierwszorzędny...

— Bardzo mi przyjemnie — rzekł gospodarz tonem protekcjonalnym, podając rękę obu młodzieńcom. — Pan gra na skrzypcach?

— Tak jest — odparł blondyn.

— Instrument bardzo interesujący, choć wolę go w orkiestrze. W pojedynkę podoba mi się lepiej trąba — zauważył p. Samuel, którego córka pociągnęła nieznacznie za surdut.

— To zależy od tego. kto i jak gra. Skrzypek może czarować swoją grą — odpowiedział mu długowłosy muzyk.

Młodzieniec o kędzierzawych czarnych włosach, nałożył na nos pince-nez i począł przypatrywać się obrazom.

— Panie Samuel — szepnął zaniepokojony Falimenter — mnie się zdaje, że ten brunet jest gazeciarz.

— Daj pan spokój, to nauczyciel od fortepianu. Musiałeś go pan już widzieć, bo on daje lekcje we wszystkich naszych porządniejszych familiach... Nazywa się Lorberkranz.

— Czyj to obraz, panie radco? — zapytał Lorberkranz, wskazując na ścianę. — Pierwszy raz widzę u pana te koty.

— Jakto, czyj? Jak wisi u mnie na ścianie, to musi być mój! Zapłaciłem za niego 300 koron... Hrabia Tonio Golecki prosił, żeby poratować młodego malarza, więc kupiłem z przyjaźni, choć nie wart więcej jak 150 koron.

— Chodzi mi o nazwisko malarza i dlatego pytam czyj obraz...

— Ten malarz nazywa się Puchalski, on jest zięć Szarogrodera.

— Ja dostałem teraz, za dług, dwa ładne landszafty — wtrącił się do rozmowy Falimenter — jeden z piękną Heleną, trzymającą bęben w ręku, a drugi z dwoma pijanymi chłopami. Może pan zrobisz interes ze mną, panie Bibersloch? Pan jesteś amator sztuki...

Rozmowę przerwało pojawienie się nowych gości, którymi była para małżonków, p. p. Adolfostwa Laskenstocków. Mąż był łysy i wygolony, żona zaś była bardzo przystojną przedstawicielką piękności wschodnich. Ubrana była trochę krzycząco i przesadnie.

— Co się stało! zawołał p. Samuel, witając nowoprzybyłych. — Alfons z żoną!

Ten zazdrośnik zdecydował się pokazać żonę!

— On niedarmo handluje z herbatą chińską, nauczył się od Chińczyków trzymać żonę pod kluczem! — zawołał Falimenter.

— Wolne żarty, panie Izydor — odpowiedział, z wymuszonym uśmiechem małżonek. — Gdzież jest pani Bibersloch?

— Drzemała długo po obiedzie i teraz nudzi z toaletą i pudrowaniem — tłómaczył żonę p. Samuel.

Po chwili ukazała się wystrojona p. Regina Bibersloch. Była to osoba okazałej tuszy, rzeczywiście mocno upudrowana i wymalowana.

— Przepraszam bardzo. Trochę się zapóźniłam — mówiła, oddychając z trudnością z powodu zbyt ściągniętego gorsetu. — To wina mojej krawcowej, która niechciała mi zrobić sukni na dzisiaj i mówiła, że ja mam dużo sukni w moim repertuarze... „Pani jesteś ubrana zawsze, jak lalka, — powiada — poco pani nowa suknia?“

Panie usiadły na kanapie a przy nich usiedli dwaj muzycy. Laskenstock począł spoglądać z pod oka na żonę, gospodarz zaś zauważywszy jego zaniepokojenie żartował wraz z Falimenterem na temat zazdrości małżeńskiej.

W salonie było coraz gwarniej, gdyż zebrało się już około trzydziestu gości obojej płci. Na raut stawili się nietylko finansiści z żonami i córkami, ale i paru lekarzy i kilku adwokatów. Towarzystwo odznaczało się wybitnymi rysami rasy wschodniej: przeważały zatem zagięte nosy, kędzierzawe włosy, parę dam miało coiffury, przypominające futerka wiewiórek, wszyscy zaś panowie mieli okrągłe plecy.

Bankier Szwindelmacher rozmawiał z Falimenterem, który zwierzył mu się z obawą, aby p. Samuel nie zaprosił na dzisiejszy raut dziennikarzy.

— Z tym narodem i ja nie lubię się spotykać — mówił Szwindelmacher. Niby oni bardzo grzeczni, ale lepiej z nimi zdaleka. Taki pan zje i wypije u ciebie, a potem raptem zdyfamuje w gazecie. U nich teraz każdy finansista to oszust i złodziej!

— Powiedz mi Szwindelmacher, czy o tobie pisali kiedy w gazetach? — zapytał po cichu Falimenter.

— Powiadają, że pisali, ale ja takich głupstw nie czytuję.

— Ty masz wielką racją. Niech się groch tłucze o ścianę...

— Możnaby już zaczynać zabawę muzykalną, ale jeszcze niema nauczyciela Polizalskiego. Gdzie on się podział? Mówiłem mu, żeby zaczął czytanie swoje punkt o 9-tej, a tu już kwadrans na dziesiątą — mówił do gości markotny gospodarz.

Po salonie przechadzały się dwie panny Lebermiltz, flirtując z młodzieńcem w cywilnym stroju i jednorocznym ochotnikiem.

— Więc po skończeniu służby wojskowej pan wróci pewnie do kantoru? — zapytała ochotnika starsza panna Lebermiltz.

— Oh, co to, to nie! Mój stary chce tego, ale ja zostanę w wojsku. Zdam egzamin oficerski, bo to nic trudnego.

— A jeśli stary nie pozwoli? — rzucił pytanie cywilny młodzieniec.

— Jakto, nie pozwoli?

— No, nie da pieniędzy i kwita.

— Narobię długów i niech sobie płaci.

— A jeśli nie będzie płacił?

— Daj mnie ty pokój z tem twojem „jeśli“!

— Nie potrzebujesz się obrażać, ja przecież z dobrego serca się pytam.

Panny nie były zadowolone z tej sprzeczki, i starsza panna Lebermiltz odezwała się:

— Moi panowie, wasza rozmowa jest całkiem nieinteresowna! Czy nie macie nic weselszego do powiedzenia?...

— Ach! Nakoniec... — zawołał radca, spostrzegając wchodzącego Polizalskiego. — Co pan wyprawiasz, cały raut na pana czeka!

— Pardon. szanowni państwo — usprawiedliwiał się stary, zasuszony pedagog — czekałem na pana Parmezana, wytwornego monologistę, którego pozwalam sobie przedstawić szanownemu zgromadzeniu. Pan Parmezan ma wprawdzie włoskie nazwisko, ale włada wyśmienicie językiem niemieckim i udaje świetnie Węgrów. Możemy zacząć produkcje? — zwrócił się z zapytaniem do gospodarza.

— Poczekajmy jeszcze dziesięć minut — zawołał głośno gospodarz — oczekuję przybycia hrabiego Tonia Goleckiego.

— Będzie hrabia? — zapytał kilka głosów naraz.

— Obiecał mi zrobić ten zaszczyt... Tam na konsoli leży nawet jego bilet wizytowy, na którym napisał, że przyjmuje zaproszenie, i że mu będzie miło spędzić wieczór w przyjemnem towarzystwie. To bardzo popularny człowiek.

— On ma tylko jeden feler, że lubi pożyczać pieniądze na słowo honoru — zauważył Falimenter. — Taki weksel nie da się zdyskontować!

— Jakimże sposobem on dostał się do rady nadzorczej waszego banku przemysłowego, jeśli nie ma gotówki? — zapytał p. Alfons Laskenstock.

To bardzo proste; daliśmy mu akcje i wybraliśmy go do rady. Bez tytułowanych osób żaden bank się dzisiaj obejść nie może, tak samo jak bez adwokatów. Tytułowani członkowie rady dodają szyku firmie, adwokaci zaś gadają, gdy trzeba komu gębę zatkać.

— Przecież on się musi nie rozumieć na interesach? — zapytywał znowu Laskenstock.

— Bo on nie jest od interesów. Mój Alfonsie, ty w swojem życiu nie widziałeś Chińczyka a handlujesz z chińską herbatą! — rzekł p. Samuel, wychodząc z pokoju.

— On i chińskiej herbaty nigdy w życiu nie widział — zawołał Falimenter.

— Ale nigdy nie bankrutowałem — odciął się obrażony Laskenstock.

— Hrabia przyjechał! Hrabia przyjechał! — zawołał, wbiegając do salonu, młodszy syn państwa Biberslochów. — Gdzie papa?

— Ach, biegaj co prędzej do gabinetu, ojciec poszedł tam przed pół minutką — odpowiedziała mu zmieszana matka.

We drzwiach salonu ukazała się postać zblazowanego hrabiego Goleckiego, który straciwszy fortunę, zdecydował się na rolę żydowskiego pieczeniarza, i czerpał z niej środki egzystencji.

— Niewiem jak dziękować hrabiemu, że łaskaw uświetnić swoją obecnością nasze zebranie — mówił rozpromieniony radca Bibersloch.

— Obiecałem, że przyjadę — więc dotrzymuję słowa. Proszę mię przedstawić pani domu i zapoznać z resztą towarzystwa — mówił hrabia, rozglądając się po salonie.

— Reginko! Pan hrabia Golecki chce się tobie prezentować — zawołał p. Samuel. — Zabaw naszego kochanego gościa, a ja każę tymczasem Polizalskiemu, żeby zaczynali produkcje rautowe.

Pan Samuel był tak uradowany z przybycia hrabiego, że zapomniał o reszcie gości i nie uznał za stosowne przedstawiać ich nowoprzybyłemu.

Hrabia zajął się rozmową z gospodynią domu i bawił się odpowiedziami, jakie otrzymywał na swe zapytania.

— Czy panią zajmuje literatura? — zapytał.

— Mnie nie tyle, ile moje dzieci... Czasem wezmę do ręki „Czas“, ale mi się zaraz spać chce... Niedawno jakiś pan pisał tam o takich amerykańskich wesołych zwierzątkach, co muszą mieć ciągle pożywienie pod ręką. Ja się na literaturze nie znam, ale mnie się nie zdaje, żeby zwierzęta co skaczą na czterech nogach, miały jeszcze ręce.

— Nie miałem na myśli dzienników, lecz literaturę książkową, utwory powieściowe naprzykład.

— Widzi pan hrabia, ja mam nadzwyczaj delikatne zdrowie, lekarz dr. Liebesfreund powiada, że ja się muszę dużo ruszać, żeby nie tłuściało serce, więc ja nie mogę siedzieć nad czytaniem.

— Musi pani zato interesować się ruchem muzycznym.

— Ooo! Muzyki mamy aż za dużo, bo dzieci uczą się grać. Ja sama kiedyś umiałam grać ze swoich nut...

— Pani mię nie zrozumiała, chciałem zapytać czy pani bywa na koncertach, czy pani jest zwolenniczką klasycznej muzyki, czy też nowoczesnej?

— Ja się na tem nierozumiem. Owszem, lubię muzykę wojskową i zawsze słucham jak grają na plantacjach. To bardzo przyjemnie spacerować i słuchać wszystkie te melodje na świeżem powietrzu, a przytem to nic nie kosztuje.

Hrabia zawarł następnie znajomość z paru przedstawicielami świata lekarskiego i adwokatury, i zamienił z każdym z nich po kilka frazesów. Tymczasem do fortepianu zasiadł p. Lorberkranz i odegrał jakąś uwerturę. Muzyka jego nie wywarła na słuchaczach wielkiego wrażenia.

Hrabia odezwał się do radcy Biberslocha:

— Nie wiedziałem, że pan jesteś takim protektorem i mecenasem młodych artystów.

— To nie są żadni artyści, panie hrabio. Ten Lorberkranz jest nauczycielem muzyki, Polizalski uczy mojego syna, a ten skrzypek i monologista, to znajomi naszych nauczycieli. Już ja znam takich artystów: jeden chodził tu do mnie, napisał nawet dla mnie polkę francuską, pożyczył sobie u mnie 50 koron, chciał sto, ale ja dałem połowę i potem się wcale nie pokazał. Raz widziałem go na ulicy, to uciekł na drugi chodnik.

Hrabia nie odpowiedział nic na te zwierzenia Biberslocha, a ten ujrzawszy niezgrabnie kłaniającego się na środku salonu starszego swego syna, wykrzyknął:

— Fredzio! To mój syn, panie hrabio. Polizalski chciał mi zrobić niespodziankę jego deklamacją. Mówił, że sam przeczyta coś z literatury, a tu Fredzio występuje...

— Poemat Byrona „Loch-na-Garr“, oznajmił zgromadzonym krzywonosy potomek rodu Biberslochów, i jął deklamować:

„Away, ye gay landscapes, ye gardens of roses,
In you let the minions of luxury rove...“

Wyrazy angielskie wymawiał młody Bibersloch zabójczo, szczególniej z partykułą „the“ nie mógł dać sobie rady. Stary Bibersloch był jednak wzruszony, mama Regina rozrzewniła się nawet, goście ziewali po kątach.

— Chłopak ma dopiero 15 lat, ale pan hrabia słyszy, jak on ślicznie mówi wiersze angielskie — odezwał się dumny p. Samuel do hrabiego.

— Śmiały chłopak — mruknął hrabia, aby coś powiedzieć.

— Co prawda, to ta angielszczyzna kosztuje mnie już parę tysięcy, ale niech kosztuje. Czego się dla edukacji dzieci nie zrobi!

— Deklamacja trwała dość długo. Laskenstock śledził ciągle swą żonę i szeptał do Szwindelmachera:

— Po co oni nam zawracają głowę tym angielskim językiem. Ja wcale nie protegują Anglików, bo oni robią konkurencję w interesie z chińską herbatą swoją ceylońską.

— Więc to jest po angielsku? — zapytał Falimenter. — Całkiem niepodobne do niemieckiego i zupełnie nudne.

Młody Bibersloch ukończył nareszcie profanację utworu wielkiego poety angielskiego, za którą otrzymał huczne oklaski od swego rodzica i nauczyciela. Papa Bibersloch rozczulił się nawet do tego stopnia, że powiedział do hrabiego:

— Muszę mu kupić jutro ładny globus, za te miłą niespodziankę.

Następny numer rautowego programu wykonała panna Malcia, która odegrała „Rondo capricioso“ Mendelssohna. Radca Bibersloch nie protestował tym razem przeciwko „majufesowej melodji“ i szeptał ciągle do hrabiego:

— A co? Jak ona gra? Artystka, całą gębą artystka! Jakie uderzenie, jaka technika! Znać dobrą szkołę! Lorberkranz nie wziął zadarmo pieniędzy.

— Jabym nigdy nie pozwolił, żeby moja żona wyprawiała takie komedje — mówił półgłosem Laskenstock do Szwindelmachera. — Czy to pasuje, żeby córka porządnego finansisty grała jak jaka aktorka?

— Daj pan spokój... Aktorka nie gra przecie na fortepianie.

— Wszystko jedno, zawsze to jest komedjanctwo.

Po odegraniu „Ronda“ zagrzmiały huczne oklaski, hrabia winszował rodzicom tak utalentowanej córy, pannie Malci nieszczędził również komplementów i skorzystawszy z ogólnego entuzjazmu i zamieszania ulotnił się z salonu, nie żegnając się z nikim.

Radca Bibersloch, spostrzegłszy nieobecność hrabiego. wybiegł zanim do przedpokoju, gdzie zastał już hrabiego w paltocie.

— Panie hrabio — jął prosić — jakże można odjeżdżać tak o głodzie. Jeszcze tylko numer tego Parmezana i Piłeckiego a potem zaraz będzie kolacja... Mam dla hrabiego pysznego burgunda i prawdziwe havanna-prima, po 80 tenigów płaciłem sztukę u Loesera & Wolffa w Berlinie.

— Spróbuję tych specjałów innym razem, ale teraz muszę jechać do resursy na partyjkę. Czekają na mnie: baron Bodega, hr. Veit i Leszek Porterowski... Jeśli zaś panu zależy na tem, abym osądził pański wybór, to proszę mi przysłać hawańskie cygara i wino burgundzkie do domu. Dowidzenia.

Radca Bibersloch nie zatrzymywał już hrabiego, skrzywił się po jego zniknięciu za drzwiami i mruknął: „Stary naciągacz“.

Monologi Parmezana i gra Piłeckiego nie obudziły wielkiego zajęcia wśród gości p. p. Biberslochów. Piłecki był nawet obrażony, gdyż podczas jego produkcji Falimenter opowiadał głośno różne epizody z praktyki windykacyjno-wekslowej.

— Ładnieś mię urządził, wprowadzając na ten żydowski raut szabasowy, — wyrzucał młody skrzypek dość głośno Lorberkranzowi. — Toż to zbiór kretynów i idjotów z całego Kaźmierza i Stradomia!

— Co ty wygadujesz, Piła! To sami solidni ludzie! Wszyscy mieszkają w śródmieściu, albo na Dietlowskiej ulicy, we własnych kamienicach...

— No, niechcę robić awantury, ale powiedz temu grubemu smokowi, że noga moja więcej tu nie postanie, jeśli nie zapłaci mi przynajmniej 30 koron za dzisiejszy wieczór.

— Bój się Boga! Trzydzieści koron, za jeden kawałek? Bibersloch nieda więcej jak 10 koron.

— Bywaj zdrów! Wynoszę się z tej spelunki... Pal was licho... Przyniesz mi jutro te 10 koron do Suskiego... Rozumiesz?

— Dobrze, dobrze...

Piłecki opuścił salon. W chwilę potem poczęto obnosić herbatę, kanapki, ciastka wypieku p. Reginy i konfitury na spodeczkach. Po herbacie starsi mężczyźni zasiedli do kart a p. p. Szwindelmacher, Falimenter i Laskenstock grali w domino, przyczem, na wyraźne życzenie męża, musiała asystować p. Laskenstockowa.

Goście rozeszli się około północy. Lorberkranz i Polizalski, wziąwszy na bok p. Samuela, konferowali znim dość długo wsprawie honorarjów dla Piłeckiego i Parmezana. Radca, jak to przewidywał Lorberkranz, zdecydował się po



ZAMEK W WIELICZCE.

bardzo ożywionej dyskusji na wypłacenie zaledwie 10 koron dla obu artystów i twierdził, że takie tandetne produkcje nic nie warte.

Zapobiegliwa p. Regina zajmowała się zbieraniem sardynek z pozostałych kanapek do blaszanej puszki, aby się nie wysuszyły bez oliwy, oraz wkładała skrzętnie do słoików resztki konfitur ze spodeczków.

— Uuf! — odsapnął p. Samuel, zgasiwszy dwie lampy — ekspens był duży, moja Reginko, ale raut odbył się całkiem po arystokratycznemu. Nieprawdaż?

— Ja tego niewiem, bo niebyłam nigdy u arystokracji, — odpowiedziała p. Regina.

— Co to znaczy, żeś niebyła, ale będziesz niedługo. Niech mnie się uda tylko ten interes z koncesją kolejową, to wyprawię taki raut, że nawet arystokracja się zadziwi i nikt nie domyśli się, że ja handlowałem przed 30 laty skórkami. Proszę cię, moja Reginko, na przyszły raut nierób tyle kanapek i niekraj tak grubo Ementhalera, który jest drogi...

— To niebył wcale Ementahler, to był ser tutejszy, odpowiedziała radczyni, ziewając.

Państwo Bibersloch, dumni z rautu wogóle i z powodzenia swoich dzieci w szczególności, udali się na spoczynek. *Digamma**.

Kraj lat dziecinnych.

(Dokończenie).

Mimowoli a ustawicznie szuka po tych okolicach wzrok nasz tła do „Pana Tadeusza“. Z poznanych miejscowości najwięcej, acz niezupełnie, przypada do opisu poety dwór w Cząbrowie p. Juliana Karpowicza. Cząbrów, niedaleko Świtezi, należał przed stu laty do Uzłowskich. U nich to przebywała jako panna respektowa, Barbara Majewska, i stąd, z Cząbrowa, wyszła za mąż za Mikołaja Mickiewicza. Aniela Uzłowska trzyma też do chrztu Adama Mickiewicza. Nie można wątpić, że gdy dziecko podrosło, nieraz odwiedzało tu z rodzicami swemi matkę chrzestną. Dla matki poety Cząbrów był jakby domem rodzinnym. Dwór w Cząbrowie był może pierwszym z większych dworów wiejskich, zapamiętanych przez dziecko, które w Zaosiu i okolicy tamtejszej skromniejsze tylko widywało zabudowania. Dwór w Cząbrowie leży właśnie wśród pól, malowanych zbożem rozmaitem, na p a g ó r k u n i e w i e l k i m,

Dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany,
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi
I stodołę miał wielką...

Dziś o tyle zmienione, że topole wycięto przed dworem, a front ganku nieco podwyższono. Nie myślę się zresztą upierać przy tem przypuszczeniu, że Cząbrów był jedynie podstawą topografii Soplicowa; owszem, z góry zaznaczam, że inne szczegóły mogły być wzięte to z Tuchanowicz, to z Horodziłówki, ale w Cząbrowie najwięcej przypominało mi się Soplicowo. Mickiewicz, który wedle własnej definicyi, „nie tworzył prawie nic, lecz przypominał“, gdy na bruku paryskim przeniósł się duszą utęsknioną „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych“, nie wytrwał przy jednej jakiejś miejscowości. Zwiedzał w pamięci swej nadzwyczajnej jedną okolicę po drugiej. aż z tej pielgrzymki duchowej utworzył najwspanialszą syntezę nowogrodzkiego krajobrazu. Las w nim panuje, jak panował w rzeczywistości. Już młodzian rozkochał się w olbrzymach puszczy, w rówiennikach litewskich wielkich kniaziów, w drzewach Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa, co mu wśród ciszy ostępu świadczyły o zamierzchłych wiekach. Do nich, jak do druhów, tęsknił poeta:

Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? Czy dotąd żyjecie?

„Błahy strzelec“ tu nie zwierzyny, a dumań szukał samotnych, podpatrzył życie lasu i przeniósł urok jego, zapach i kolory do kart nieśmiertelnego arcydzieła.

Nad ludźmi z „Pana Tadeusza“ przeszła niszcząca fala zdarzeń i zmiotła ich z powierzchni. Ludne, rojne przed stu laty zaścianki i okolice, bądź znikły, bądź też zubożały, zdrobniały i bliskie są zaniku. Przecież nie zaginęły jeszcze do szczętu. Po mowie, po głosie, po jasnem czole i bystrym wzroku, poznasz potomka Mazurów, co przed czterystu laty karczowali tu lasy i szerzyli niekrwawe zdobycze pługa polskiego. Dziś strzechy ich pochyliły się, ściany zczerniały, wszystko zgnębione ubóstwem:

Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe; domu dachy
Świeciły się jakgdyby od zielonej blachy,
Od mchu i trawy, która bnja jak na łące.
Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące

Różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna...

I tu natura dotrwała dłużej od ludzi..

A już jeśli gdzie, to tutaj, zdawało się, przetrwają po wieki stosunki, które wydały największego naszego poetę. Kraj był jakby w sobie zamknięty, nieprzebytem borem, jak wałem, objęty, chroniący miłośnie ludzi od wpływów niedobrych. Sieć gęsta wspólnych zasad, upodobań, tradycyj, tysiącznymi splotami wiązała tę drobną rzeszę ze sobą i tworzyła z niej jakby żywą, wzorzystą tkaninę...

Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest boży, tak on był nasz własny!
Jakże tam wszystko do nas należało!...
Jak każdy kątek ziemi był znajomy
Aż po granicę, po sąsiadów domy...

Stąd szły soki żywotne, któremi żył nietylko wielki poeta, ale wielki obywatel. Z tej drobnej rzeszy zaściankowej wyszedłszy, on się po sam koniec życia czuł wygnańcem, bo mu wszędzie było tem gorzej, „im dalej od Nowogródzkiego powiatu“, im dalej od zaścianków. U szczytu sławy i natchnienia, o nic Boga nie prosił, tylko o to, by mu z wędrówki pozwolił wrócić

I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli
I służyć w jeździe, która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;
Nie znać innych, prócz kosy i sierpa rynsztunków,
I innych gazet, prócz domowych rachunków!...

Dziś życzenie takie okrzyczanoby jako — filisterskie, ale kto sięgnie na samo dno tych pragnień, kto dotrze do źródła tej gorzkiej tęsknoty, ten zrozumie, dlaczego nad wszystkie zagraniczne ponęty on stawiał wyżej kraj lat dziecinnych, kraj, nie zmieniony wypadków strumieniem: dlaczego nad laury Kapitolu droższy mu był

Wianek rękami wieśniaczki usnuty
Z modrych bławatków i zielonej ruty...

Józef Kallenbach.

Wrażenia z wakacyj.

Melsztyn i jego okolice.

(Dokończenie).

Obserwując okolicę Melsztyna ze schroniska, przed kilku laty tamże dla wygody zwiedzających gości zbudowanego, widzimy po stronie południowo-zachodniej najstarsze miasteczko w Zachodniej Galicji powstałe: Czchów, a przed niem Biskupice, własność w XV w. Pawła de Złodziej herbu Niesobia, które później przyłączono do dóbr melsztyńskich, własność z roku 1628 Teofili ks. Ostrogskiej. Przed Czchowem rozciąga się Jurków, własność z r. 1450 Wielogłowskich, a z r. 1700 Narzymskich. Miasteczko Czchów, leżące w powiecie brzeskim, bardzo dawne i historyczne, dziś podupadłe — nie przedstawia się dodatnio. Ma ono co trzy tygodnie jarmarki drobne, przeważnie wyroby garncarskie znajdują spyt na jego rynku. Jak niesie tradycja, założył je Bolesław Chrobry i osadził tamże jeńców czeskich po odniesionem zwycięstwie nad Czechami, skąd pochodzi nazwa „Czchów“ od Czechów.

Upadek tego miasteczka liczy się od upadku Rzeczypospolitej polskiej, gdyż dotąd miało ono swoją tradycją, i znajdowało się w stanie kwitnącym. Kiedy tą stroną odbywał się, czy to traktem bitym, czyli też Dunajcem, handel między Węgrami a Lwowem i Krakowem, — miasteczko to miało swoje warunki rozwoju i dobrobytu materjalnego — tędy też przejeżdżali dygnitarze polscy z Krakowa do Węgier — tędy prowadzono handel winny. — Miasteczko było siedzibą sądu ziemskiego i kasztelania starostwa niegrodowego — w przeciwieństwie do starostw grodowych, których historja sięga czasów Kazimierza Wielkiego, kiedyto władza sądowa przeszła w ręce starostów grodowych, gdzie sprawowali swą władzę do wieku XV. Do starostów grodowych należały sprawy kryminalne, jako to: o najazd, podpalenie, rozbój i inne przewinienia zbrodnicze. Do starostów grodowych należało także pilnowanie wyroków sądowych, a pisarz grodzki miał pod swoją jurysdykcją akta, wszelkie i księgi grodzkie.

Miasteczko Czchów rządziło się prawem magdeburskiem. Jest tu kościół parafjalny z roku 1349, a należą do niego parafje: Jurków, Piaski, Drwiczów, Filipowice, Ruda, a do dawniejszych dóbr czchowskich należały: Stróże, Wola strózka, Borowa i Dzierżawiny. Z dawnego zamku sięgającego na podstawie podania, czasów Chrobrego, pozostała dotąd baszta okrągła nad Dunajcem w kończynie miasta obronnej, mająca jeszcze po dziś dzień otwory, gdzie były strzelnice. W tej to baszcie było do końca Rzeczypospolitej polskiej więzienie dla tych, którzy odsiadywali karę „in fundo“. Ludność miasta uboga, trudni się tylko drobnym przemysłem, jak garncarstwem, a w części są rolnikami. Miasto posiada za sobą przeszłość historyczną. Roku 1501 kazał tu król polski Olbracht ściąć Heliasza, syna Piotra, wojewody wołoskiego, o gwałcenie przymierza. Zygmunt August, dekretem z roku 1565 wyznaczył to miasto na punkt zborny pogranicznych jarmarków. W XVI w. rozszerzyli tu swoje zasady religijne Arjanie, u których tłómaczem a zarazem propagatorem tej sekty był mnich Franciszkanin Franciszek Lismanin, który zarządzał tu zborem arjańskim. Był to zakonnik reguły św. Franciszka, i przyjaciel a zarazem spowiednik królowej Bony oraz powiernik Zygmunta Augusta. Tegoto mnicha kochał i odznaczał różnymi przywilejami syn Zygmunta I, a kiedy arjanizm wcisnął się do Polski, wysłał go Zygmunt August za granicę, by u światłych ludzi zbadał nową sektę i powrócił do kraju z objaśnieniem zasad tej sekty religijnej.

Lismanin jedzie tedy za granicę, gdzie przejmuje się zasadami Kalwina, zrzuca habit zakonny i żeni się, przez co popada w konflikt z władzą monarszą. Zdołał jednakże przebłagać Augusta, który pozwolił mu osiąść w Czchowie i być zawiadowcą zboru arjańskiego. Miasteczko posiadało już za Zygmunta Starego kanalizację i wodociągi, zbudowane własnym kosztem Tomasza z Bochni, a Zygmunt Stary, chcąc te urządzenia sanitarne zatrzymać i nadal, nałożył na ich utrzymanie podatek od mieszkańców Czchowa, oraz podatek od piwa i od łaźni, dekretem z r. 1545. Zamek dawny dochował się do Stanisława Augusta, chylił się do upadku, lecz go nie poprawiono, a baszta okrągła, na ostrokręgowem wzgórzu wznosząca się, służąca kiedyś za więzienie, świadczy o tem, że Czchów miał swoją przeszłość historyczną i jest bardzo starożytnem miasteczkiem, oddającem ważne usługi dla handlu i przemysłu polskiego między Węgrami i Polską. Po za Czchowem rozciąga się prześliczna kotlina Dunajca z wioskami o malowniczym wyglądzie aż do samego Nowego Sącza, widok zaś tej okolicy przedstawia istną panoramę Podkarpacia, którą tak bardzo mało znamy, a tem bardziej mniej podziwiamy i jest naszym obowiązkiem poznać te okolice, zamiast osławionych widoków obcych, nad którymi się unosimy, nie wiedząc, że takie prześliczne obrazy mamy na własnej ziemi.

Na północny wschód od Zakliczyna i Melsztyna w okolicy nad Dunajcem — w okolicy nieustępującej pod żadnym względem widokom zagranicznym, które stanowią siłę atrakcyjną dla Polaków, nie umiejących cenić swoich skarbów i bogatych w pamiątki historyczne, jest miasteczko dzisiaj napozór małe, niepokaźne, a przecież bogate we wspomnienia histyryczne Wojnicz, niedaleko Dunajca położone, dawniej w województwie krakowskiem, dziś leżące w powiecie bocheńskim, o dwie mile od miasteczka Brzeska — między Tarnowem a Zakliczynem, założone prawdopodobnie około roku 1217. Król Ludwik Węgiesski, chcąc to miasteczko podnieść, wyjmuje go z pod prawa Szrodzkiego i nadaje mu prawo magdeburskie. W bliskości tego miasteczka stoczył walną bitwę Karol Gustaw roku 1653 z wojskiem polskiem i pobiwszy wojska Stanisława Lanckorońskiego, oraz Aleksandra Koniecpolskiego, odebrał od wojsk polskich przysięgę wierności i tym sposobem utorował sobie drogę do Przemyśla. Miejsce tej porażki polskiej oznaczają do dziśdnia istniejące okopy, obecnie w gruzach znajdujące się. Miasto miało dawniej bardzo ładną kollegiatę i stanowiło królewszczyznę, czyli starostwo niegrodowe. Dziś ma ono sąd powiatowy, urząd podatkowy, pocztę, telegraf i szkołę ludową — ale obecnie podupadłe. Mieszkania są przeważnie drewniane i nie ma już śladów z dawnej jego świetności. Mieszkańcy trudnią się dzisiaj uprawą roli i drobnym przemysłem, przeważnie stolarstwem. Dawny zamek, z którego są jeszcze dzisiaj ślady, znajdował się po za miastem, po stronie południowej, który uległ zniszczeniu przez Szwedów, według podania albo w r. 1655, lub też w roku 1702.

Kończąc swoje uwagi o tej okolicy, apeluję do opinji narodowej, do uczuć patrjotycznych, ażeby je częściej zaszczycali swą obecnością, mając na względzie słowa najlepszego znawcy tych stron Wincentego Pola, który wyraźnie mówi: „cudze kraje znajmy, ale swój kochajmy“, a tym sposobem nabierzemy rozmiłowania do swojszczyzny, pieniądze zaś, wyłożone zagranicą, pozostaną w rękach naszej ludności i przyczynią się do poprawy jej bytu materjalnego — my zaś z tej wędrówki po swojej ziemi nabierzemy większego zamiłowania do ojczystych stron i odniesiemy podwójną korzyść: że mniej nas ta wędrówka będzie kosztowała, a powtóre nauczymy się kochać co jest swojskie i narodowe.

Jan Wilkosz.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“.

Druk W. Korneckiego w Krakowie.